

**Andrzej Zimniak "Gawędy fandomowe"  
cz. 12 - Bal wizjonerów**

# Andrzej Zimniak "Gawędy fandomowe" cz. 12

## - Bal wizjonerów

Czy fandom był (jest) dla mnie ważny? Oczywiście, tak! Dlaczego? Na to pytanie trochę trudniej odpowiedzieć. Po wystukaniu słowa „tak” od razu zacząłem się zastanawiać, co takiego dla mnie, outsidera i indywidualisty, mogło być aż tak ważne w rozbawionej, poprzebieranej i lekko podchmielonej społeczności?



© A. MASON Przede wszystkim liczyło się to, że w ogóle był (używam czasu przeszłego, bo od kilku lat nie uczestniczę w konwentach i innych spotkaniach fantastów, a właśnie takie kontakty *face to face* są kwintesencją fandomowego życia). Że istniała spójna społeczność o charakterystycznym sposobie bycia, wspólnych zainteresowaniach, otwarta na przybyszów, generalnie dająca wszystkim, swoim i nowym, duży kredyt zaufania w postaci życzliwości. Grupa, która spotykała się dla wspólnej zabawy, ale musiała to być zabawa inteligentna, a piwo dozowano w takich ilościach, by umysł pobudzić, a nie uśpić. Oczywiście trochę idealizuję, bo w fandomie zawsze były animozje i kłótnie, ale jednak jako zjawiska raczej marginalne.

No właśnie, jedną z cech fandomitów była inteligencja, znacznie przewyższająca „tramwajową” średnią (zamiast tramwaju może być autobus, pociąg, fragment ulicy itd.). Zawsze były ciekawe tematy do rozmowy, nie tylko o fantastyce w literaturze, filmach czy grach, ale też dyskutowało się o problemach naukowych, o kulturze, podróżach czy bardziej niszowych zainteresowaniach – ja np. chętnie opowiadałem o wulkanach, pustyniach i nurkowaniu. Towarzystwo raczej stroniło od polityki, a tematykę społeczną podejmowano zwykle raczej w kontekście eksperymentów, utopii lub futurologii.

Z racji swojej profesji uczestniczyłem także, niejako równolegle, w wielu konferencjach naukowych w dziedzinie chemii i fizykochemii. W kręgach naukowców, którzy często byli seryjnymi bywalcami kolejnych sympozjów, nie było jednak nawet zbliżonego poziomu zbratania, poczucia wspólnoty, swobody dysput, a także – co może brzmie dziwnie – otwartości umysłu. Uczni często bywają zasklepieni w swojej dziedzinie i nie mają za grosz fantazji, mało jest też wzajemnej życzliwości, za to dużo konkurencji i okazywania wyższości. Nie można oczywiście generalizować, odbyłem także wiele ciekawych rozmów niekoniecznie zawsze o chemii, ale statystyczna większość jest, jaka jest.

Znajoma psycholożka wyjaśniła mi kiedyś, że ludzie zaprzędają duszę za poczucie przynależności i za nagrodę. No i zgadza się – fandom przyjął mnie i wchłonął, od początku lokując na pozycji autora tekstów i jednocześnie naukowca, którego warto wysłuchać, nawet jeśli jego opinie bywają dyskusyjne. Oprócz tego w konwentowych klimatach czułem się jak ryba w wodzie, bo atmosfera była swobodna, no i rozmawiało się o nauce w duchu futurologii i śmiałych hipotez, często i z lubością uciekając poza zasięg brzytwy Ockhama.

Jak teraz spoglądam na fandom z pewnego dystansu, wydaje mi się, że fandomici zjeżdżają na konwenty jak na bale, w zakładanych po drodze maskach. W życiu codziennym zwykli ludzie, którzy normalnie pracują, robią zakupy, kłócą się i liczą złotówki, jadąc na konwent przestrajają się wewnątrz, nastawiają na dobrą, inteligentną zabawę i na zbratanie z życzliwym towarzystwem. Oczywiście ja też miałem taką maskę i odpowiednio duży zapas dobrego nastroju. Chociaż... zaraz. Może jest całkiem odwrotnie? Może na co dzień zakładamy różne maski, jedną dla szefa, drugą dla żony, trzecią i czwartą dla znajomych i panienci w okienku na poczcie? Natomiast pośród swojaków-fantastów nikogo nie musimy udawać?

Niestety, przyszedł kiedyś taki moment, że podczas konwentu poczułem się źle, a nawet fatalnie. Wstyd się przyznać, ale nie za wszystkimi kulturowymi trendami nadążałem. Jakoś ominęły mnie gry wszelakiego rodzaju. Najpierw, jak gry były proste, a sprzęt prymitywny, wydawały mi się dziecinadą. Potem, jak wszystko się rozwinęło, nadal kwalifikowałem zjawisko głównie do głupawych strzelanek (no, faktycznie większość taka była i nadal jest, ale dotyczy to przecież także literatury). Mówiono mi, że istnieją gry wartościowe, ciekawe i piękne, urzekające nastrojem, z piękną grafiką i mądrą puentą na dokładkę. Przyznawałem, że tak, oczywiście, ale i tak zawsze wolałem użyć komputera do napisania czegoś własnego, niż „tracić czas”. I jakoś nigdy do mnie w pełni nie dotarło, że czytanie literatury jest głównie podążaniem za koncepcją autora – tłumaczyłem sobie, że czyta się kreatywnie, interpretując dzieło indywidualnie. Ale czy dobrze zrobionej gry nie można interpretować na swój sposób?

Kiedyś mój rolplejowy analfabetyzm dał mi się mocno we znaki, mianowicie doznałem kulturowego wykluczenia. Siedzimy przy piwie i ożywczo dyskutujemy, aż tu raptem temat zbacza na gry. Nie w pełni doceniam zbliżające się niebezpieczeństwo, choć odczuwam niepokój. No i nagle wpadam w szklaną bańkę, ludzie wokół poruszają ustami i na pewno coś mówią, nawet wiem, że mówią po polsku! Problem w tym, że nic nie rozumiem, nie pojmuję naszej mowy ojczystej! Mój wewnętrzny niepokój rośnie, zbliża się do paniki, bo bariera rozumienia pojawia się nie dla języka, lecz dla treści! Czuję się tak, jakby znał słowa, ale nie rozumiał ich znaczenia przez jakiegoś cholernego Alzheimera, który podstępnie oblepił moje neurony. Szczęśliwie „gierczany” temat szybko się wyczerpał i mój mózg znów ruszył. Wierzcie mi, to było o wiele gorsze, niż jakby nagle towarzystwo zaczęło konwersację w suahili!

Ucieknę teraz na chwilę od głównego wątku, ale tylko pozornie. Chodzi o powitanie na modłę Żwikiewicza. Kiedyś Żwik, jak jeszcze był młody i pełen wiary w człowieka, witał się i żegnał z przyjaciółmi, także tymi nieco dalszymi, przez objęcie i uściśnięcie, akurat takie, żeby wyrazić życzliwość. To było ładne, bo – tak przynajmniej rozumiałem ów gest – okazywało empatię dla drugiej osoby. Postanowiłem więc ten sposób także czasami stosować, zwłaszcza wobec lubianych osób. Jednak, jak się okazało, odbiór był bardzo różny, czasami zgoła nieempatyczny. Metoda sprawdziła się świetnie w przypadku Lecha Jęczmyka, z którym żeśmy się lubili, choć różniło nas naprawdę sporo. Lecz jak spróbowałem podobnie uścisnąć jednego z pisarzy, którego twórczość ceniłem, ów zachnął się i niemal wyrwał, zupełnie jakbym był żelaznym golemem nagrzanym przynajmniej do 300 stopni. Ten epizod miał miejsce dawno, ale kilka lat temu w analogiczny sposób zareagowała jedna z konwentowych organizatorek, której po prostu chciałem wyrazić swoją wdzięczność za wzorową opiekę nad gośćmi. W efekcie jej opieka natychmiast ustała, zamieniając się w utrudnianie życia na wszelkie sposoby.

Poniekąd tych ludzi rozumiem. Pisarz był lekarzem i biegłym sądowym, stąd odruch obronny, a orgianka (org to organizator) reprezentowała wyemancypowaną i asertywną społeczność i jej niezbywalnym prawem było egzekwowanie poprawnościowej normy.

Jednak z pewnym niepokojem obserwuję, jak coraz więcej obywateli chce coś egzekwować. Wydawało się, że fandomowy bal na tym tle pozostanie wyspą odmienności, ale to się niestety nie

udało. Także w naszej społeczności pojawiły się głębokie pęknięcia, nastąpiła polaryzacja. Lecz ostatnio, jak czytam relacje z niedawnych konwentów, odnoszę wrażenie, że sytuacja się stabilizuje i wracamy do idei twórczej zabawy, a przynajmniej większość uczestników mocno się stara. Instykt samozachowawczy, czy skok temporalny w przyszłość, gdzie wszyscy wreszcie pływają się w szczęściu, czyli są piękni, młodzi, zdrowi, i na dodatek bogaci?

*Andrzej Zimniak*